

WŁODZIMIERZ SULIMA POPIEL.

ŚLĄSKI BOHATER.

(Opowiadanie rannego Legionisty).

Sala była długa, wysoka. Szeregiem wzdłuż ścian ciągnęły się szpitalne łóżka, na których leżeli ranni Legioniści, z placu boju niedawno przyniesieni.

Ciche, zdławione jęki, głębokie westchnienia, urywane jakieś wyrazy i wołania, wraz z rozelkanymi akordami wichru, zawodzącego za oknami, rozbrzmiewały tutaj bolesną, żalobną muzyką.

Zdawało się, że jakieś złowrogie zjawy czają się po kątach, że kryją się poza łóżkami rannych i wyciągają długie, niewidzialne ręce, po swoją krwawą dań... Ciężkie przegnębienie unosiło się jak brzemienna chmura.

Pod burą derką leżał młody chłopak z płową czupryną, wyciągnięty, bez ruchu. Oczy miał przymknięte, twarz lekko skrzywioną, na której drgały cienie przeżywanych cierpień.

Wraz ze znajomym swoim Bolkim, Ślązakiem, u którego mieszkalem parę miesięcy jako galicyjski uchodźca, przybyłem w odwiedzinach do rannego.

Bolek usiadł na krawędzi łóżka, ja zaś stanąłem obok i w milczeniu rozglądałem się obaj po sali, w oczekiwaniu na przebudzenie się Legionisty. Dopiero po długiej chwili ranny chłopak ocknął się ze snu. Z jakimś dziwnie bolesnym uśmiechem spojrzał zdziwiony na Bolka i na mnie, wyciągnął z pod derki wychudłą prawicę i począł nas witać.

— Bolek... a ty skąd aż tutaj? Co słyhać? Kto cię powiadomił, że jestem ranny?

Miedzy dwoma przyjaciółmi rozpoczęła się dłuższa rozmowa. Stałem obok i bacznie ich słuchałem.

Ranny, jakby zapomniawszy o swoich cierpieniach, wsparł się na ręce i jał Bolka wypytywać o rodzinę, kolegów i znajomych. A kiedy wspomniawszy o swojej ranie i kolegach obozowych, oczy zasłyły mu naraz łzami i wyszeptał ledwie dosłyszalnym głosem:

— A wiesz o tem, że nasz Rudek Nardelli nie żyje.

— Co... Rudek? — poderwał zdziwiony Bolek, przejęty nagle tą smutną wieścią.

— Nie żyje Rudek... nie żyje... — odparł cicho Legionista.

— Gdzie... kiedy padł? Pierwszy raz od ciebie słyszę!...

Wtedy młody Ślązak osunął się na poduszkę, oczy przywarł na chwilę i pograżył się w ciszy swoich zadumań, w których budziły się zamarłe — przelazawione wspomnienia.

— Pod Maksymcem padł... pochowaliśmy go w Rafajłowej!... — ozwał się wreszcie szeptem, jakby sam do siebie.

Gdy słuchał jego słów, jakaś modlitewna tkliwość zawładnęła moim sercem, ból dojmujący przytłoczył duszę, a myśli skłębiły się w dziwnym chaosie.

I choć nie widziałem nigdy tego bohaterskiego Rudka Nardellego, tylko znaną mi była ta postać z fotografii i licznych opowieści, stanął mi teraz przed oczyma ten młody, kochany żołnierz polski — entuzjasta, który jeden z pierwszych z śląskimi Legionistami poszedł na męczennstwo i śmierć, w tej nadziei, że owocami będą jego ofiarności i wysiłki.

Przytłoczony smutnymi myślami, przejęty jękami rannych, otulony melancholią, unoszącą się w sali, zwiesiłem głowę i słuchałem, jak ranny Ślązak począł teraz prawie swoją smutną opowieść. W głosie jego drgała nuta serdecznego rozrzewnienia, lśniły łzy głębokiego żalu.

— Dobrze, żeś przyszedł, Bolek. — rozpoczął swoją opowieść, biorąc mego przyjaciela za rękę — Jeśli będziesz miał sposobność, to daj wiadomość rodzicom Rudka o nieszczęściu... Podporucznik Łyssek, choć ranny, pisał już do jego brata o tej smutnej nowinie... Może już ją otrzymał... Boże mój, Boże! Do dziś nie mogę się pogodzić z tą myślą, że niema już Rudka między nami, że utraciliśmy na zawsze tego ukochanego kolegę, serdecznego druha i wiernego towarzysza broni... Teraz, nikt nam go już nie zastąpi... W nikim nie znajdziemy już takiego pocieszyciela, dodającego wszystkim hartu i otuchy, i budzącego w kolegach obozowych tyle wiary w lepszą, słoneczniejszą przyszłość... Nie wrócimy już z nim po tej wielkiej wojnie do śląskiej ziemi, nie będzie dzielił naszych radości ni smutków, bo służbie, której się poświęcił, oddał już swoje życie i krew serdeczną... A nie chciał nawet ugiąć się przed chorobą, która po dwóch operacjach podko-

pywała jego siły. Dano mu w kancelaryi pracę, ale niedługo nią się zajmował. Gorąca chęć walki i odraza do gnuśności, pchały go w szeregi walczących. Więc pomimo słabych sił zawsze miał hart ducha. Ani perswazyje doktora, ani też rady towarzyszy broni nie zdołały go odwieść od powziętego zamiaru. Służbę w kancelaryi odstąpił swojemu niezbyt zdrowemu koledze, a sam poszedł do służby liniowej. Pamiętam dobrze ten wieczór... pamiętem... Siedziałem wtedy w domu opatrunkowym. Było tam kilku kolegów i doktor. Wszedł Rudek, pobladły, zmierzowany, zmarznięty... Tylko oczy świeciły mu się dziwnym, fosforycznym blaskiem. Zalecił mu doktor spoczynek... do szpitala odesłać go kazał... Rudek nie chciał.

— Nic mi nie jest... zdrow jestem! — odparł zaraz, jakby urażony, że posądza go o chorobę.

I tegoż jeszcze wieczoru, kiedy okazało się koniecznością zbadanie stanowisk nieprzyjacielskich, plutonowy Rudek Nardelli z kilku śląskimi ochotnikami, między którymi i ja byłem, poszedł na nocny patrol...

Było to z 2 na 3 lutego 1915 roku.

Noc mroźna, pogodna, księżycowa... Biel śnieżna



Ś. p. Rudolf Nardelli.

grubym całunem okryła ziemię. Kilka chmurek, jak potargane szmaty wlokły się leniwo po niebiosach, przybierając dziwne, fantastyczne kształty. Chwilami chował się za niemi księżyc, a wtedy mrok padał na śnieżne całuny, czasem wiatr mroźny powiał od gór, przewalał się z tajemnym szmerem po ziemi, potrafił gałęziami drzew i w dal z westchnieniem popłynął. Nikłymi zarysami — jak widma w białych kapturach — otaczały nas wokół wzgórze. Patrol nasz szedł powoli w milczeniu. Rudek postępował pierwszy, rozglądając się bacznie. Przeprowadził nas niedaleko, ale niezmiernie trudna, bo oto przetrzeźnia, która roztoczyła się teraz przed nami, była otwarta, bez jakiegokolwiek krycia. W dali majaczył dom jakiś, w stronę którego skierowaliśmy nasze kroki. Zaledwie jednak znaleźliśmy się przy budynku, poczęły sypać się w stronę naszą gęste strzały nieprzyjacielskie...

Patrol nasz został spostrzeżony...

Wtedy Rudek jakby ożywił się nagle. Zadanie nasze było już spełnione, gdyż wiedzieliśmy o stanowiskach nieprzyjaciół, teraz należało pomyśleć o rychłym odwrocie. Ale trudne to było zadanie, bo księżyc wypłynął właśnie z poza chmur, a śnieżny całun, po którym należało robić odwrót, leżał jak rozpostarty obrus.

Pojedynczo więc wysyłał nasz dzielny dowódca ludzi z powrotem, a każdy swoim sprytem musiał radzić sobie, jak mógł, umykając z niebezpiecznej kryjówki. Na ostatku pozostałem z Rudkiem sam. Wtedy on zwrócił się do mnie i jał mi ścisnąć rękę.

— Teraz czas na ciebie — mówił do mnie go-

rażkowo — Strzały padają tutaj coraz gęściej, nie trać ani chwili czasu.

Począłem się ociągać i jego najpierw wysyłać, wkońcu zaproponowałem, abyśmy obaj razem się wymykali. Ale nie chciał. Odwołał się na obowiązek służbowy, że jako dowódca patrolu musi dotrwać ostatni na posterunku i zbadać jeszcze rezerwy nieprzyjacielskie. Poczem podał mi znowu rękę, serdecznie moją uściśnął i szepnął rozkazująco:

— Idź zaraz!... Da Bóg, obaczmy się za chwilę...

A gdybym, wiesz... gdybym nie wrócił... to wszystkich kolegów i rodzinę moją serdecznie pozdrów... pożegnaj... a ja także... pamiętaj... powiedz... że do ostatniej chwili byłem myślą przy niej!...

I w tej chwili serce jego i dusza streszczone były całe w tych słowach. Płynęła od nich jakaś żalosna skarga i płacz, które wżarły się w me serce gryzącem cierpieniem. Dojmujący ból uczulem w piersiach, zdało mi się, że anioł śmierci uderzył skrzydłami i chłód grobowy między nami powiał...

Rozkaz był — musiałem słuchać!... Począłem przekradać się sam, Rudek został ostatni. A strzały nieprzyjacielskie całą ulewą sypały się bez ustanku w tę stronę, którą nasz patrol przeprowadził się pojedynczo do obozu. Kiedy dotarliśmy w pobliże naszych pozycji, zatrzymaliśmy się w oczekiwaniu na Rudka. Ale on nie wracał. Mijały kwadranse i godziny, strzały umilkły... Nigdy w życiu nie wydał mi się czas tak długim, a oczekiwanie tak bolesne i denerwujące, jak w tę noc nieszczęsną...

Zbudził się wreszcie świt. Boże mój!... Rudka nie było. Rozesłano zaraz patrole na poszukiwania. Daremny jednak był trud, naszego serdecznego druha nie odszukano. Znalezione tylko kilka listów i papierów, należących do niego. Byliśmy pewni, że został wzięty do niewoli, albo też — jak większość nas sądziła — przekradł się między zarośla i z powodu bliskości nieprzyjaciół przedostać się do nas nie może. Tak minął cały dzień na daremnym poszukiwaniu. W dniu następnym zajęliśmy Maksymiec, poczem ruszyliśmy do Rafajłowej. Ale Nardellego nie było — przepadł nam bez wieści. Zaniepokojenie w naszej śląskiej kompanii było wielkie.

— Gdzie on? Co się stać mogło? Czy żyje? — pytał jeden drugiego i lęk jakiś nas ogarniał, lodowatą ręką chwytając za serce i drżeniem niepewności o życie jego owładał.

Aż nadszedł wieczór 7 lutego. Ktoś rzucił w naszej kwaterze, że sanitariusze wracają z Maksymca. Gnębieni ciągle myślą, co się stało z naszym kochanym Rudkiem, wyszliśmy gromadnie po wiadomości o nim. Zajechały sanki, wszyscy otoczyli je kołem.

— Rudek!... Rudek!... — ozwało się naraz wołanie ze wszystkich piersi.

Ale płacz serdeczny wnet zerwał się w naszej gromadce, kiedy obaczyliśmy go na sankach bez życia. Z dziwną, majestatyczną powagą na ustach, leżał zeszytywniały, głuchy już na nasze wołania, trzymając w skurczonych palcach karabin — tak, jak znaleźli go sanitariusze na śnieżnych polach Maksymca, gdzie poległ w walce z sierżantem rosyjskim, którego położył trupem obok siebie...

Nas, śląskich towarzyszy broni, śmierć Rudka okryła ciężką żalobą... Dusze nasze pograżyły się w dziwnym odrętwieniu... W poległym straciliśmy tę świetlaną postać, która była wzorem i przykładem polskiego żołnierza, oraz zacnego obywatela. Bo, jak prawym i ofiarnym był dawniej na stanowisku nauczyciela w Dąbrowie, albo też w działalności swojej na niwie śląskiego „Sokoła“, takim też pozostał i w służbie legionowej. O kolegów troskał się bardziej jak o siebie, dlatego też ta jego uczynność, ta koleżeńska miłość zjednała mu w obozie serca wszystkich...

Legionista przerwał na chwilę swoje opowiadanie, przymknął oczy i westchnął głęboko.

Za oknami wiatr zawodził i przewalał się z hukem nad ziemią, drzewa kołysały się ciężko, poszum rozlegał się wokoło trwóznym i posepnym. Na sali mrok rozpościł się zwolna skrzydła, czał się po kątach i otulał łóżka chorych. Ciche jęki, rozelkane, przyduszone głosy, urywane słowa pacierza, albo też stłumiony kaszel rozbrzmiewał po sali, pełnej jakiegoś niewysłowionego lęku.

Oparty o łóżko stałem zatopiony w smutnych rozmyśleniach. Zdawało mi się, że jakieś straszliwe tryby obracają się w przestworzach bytu, że miazdzą i nicestwią ludzkie żywoty, jęki i łkania rozlegają się wokoło, a łzy ich serdeczne wżerają mi się w serce strugą rozpalonej lawy. Jakież mocarne wichry przez mózg mi się przewalały...

Ocknąłem się dopiero na odgłos dalszych słów rannego Ślązaka.

— W Rafajłowej, koło kościoła, pochowaliśmy naszego kochanego Rudka, razem z innymi Legionistami śląskimi, poległymi w Maksymcu... Wielu